ks. Lucjan Pańkowski (kapelan rodzin katyńskich, Poznań)

Poznańskie Archiwum Historii Mówionej

Transkrypcja wywiadu przeprowadzonego dla Biblioteki Raczyńskich w ramach cyklu: "Historia Mówiona". Rozmawiał Piotr Bojarski.

[materiał niezmontowany]

Piotr Bojarski: Proszę księdza, na początek proszę opowiedzieć o swojej rodzinie, o tym skąd ksiądz pochodzi, gdzie ksiądz przyszedł na świat? Takie podstawowe informacje.

ks. Lucjan Pańkowski: Urodziłem się w 1935 roku, 27 marca. Jestem z bliźniąt, miałem siostrę, ale ona już nie żyje od kilku lat. Mój ojciec w 1920 roku, brał udział w wojnie z bolszewikami, i dotarł razem z żołnierzami Józefa Piłsudskiego, aż za Kijów. I tam poznał moją matkę. Moja matka była 100 procentową Ukrainką. Z domu nazywała się Owsiejenko. W 1957 roku, otrzymałem list – na 14 stron, z Filadelfii, od prezesa uchodźców ukraińskich. Skąd on miał mój adres i jak dotarł do mnie? I pisze w tym liście, że w 1920 roku, był przygotowany do ślubu, miał narzeczoną, Martę, z domu Owsiejenko. A przyjechał jako żołnierz taki szlachcic polski, Julian i dosłownie porwał moją narzeczoną. (02:07 minuta filmu)
I stąd mój matka przyjechała do Polski w 1921 roku. Mój ojciec zmarł w 1938 roku. Prawdopodobnie przypuszczam, że on na coś bardzo ciężko chorował. Już z racji wojny itd., ze on tak szybko zmarł. Została matka i pięcioro dzieci. Jeszcze dwóch braci, dwie siostry i ja. W naszym domu rodzinnym w 1939 roku, po wkroczeniu Sowietów, zamieszkało małżeństwo, wojskowe, sowieckie.

PB: Gdzie to było, może najpierw powiedzmy.

LP: To było w miejscowości Klepacze, to dzisiaj 500 m od Białegostoku. To małżeństwo, to byli dla nas kaci. [kręci głową] Ciągle chodzili z rewolwerami w ręku. Cokolwiek się powiedziało, było źle, będą strzelać. Ja wtedy rozumiałem dobrze po rosyjsku, dzisiaj, po tylu latach, to już mówię bardzo słabo. I któregoś dnia, stanąłem w obronie mojej matki, bo ta kobieta groziła mojej matce rewolwerem, a ja smarkacz, sześcio- czy siedmioletni, zwróciłem jej uwagę, ze to jest moja mama. Więc ona powiedziała bardzo brzydkie rosyjskie przekleństwo, - Czekam na męża, a jak wróci mąż, to cię zabijemy jak psa. I kiedy on przyszedł do domu, ona od razu poskarżyła się, i on też wyjął rewolwer i zaczęli mi grozić. Ponieważ moja mama prawdopodobnie zrobiła jakiś krzyk, udało mi się uciec. I skryłem się pod takie dawne małżeńskie łóżko, pod spodem sprężyny i różne taśmy, i ja się uczepiłem tego. A oni wielokrotnie to łózko przesuwali i w prawo i w lewo. Dlaczego mnie nie widzieli, tego nie wiem. To trwało, jak mi kiedyś mówił ktoś ze starszego rodzeństwa, ponad 2 godziny. (04:40 minuta filmu) Tego już nie pamiętam, jakim cudem wyszedłem z domu. Bo to za dużo wydarzeń w tych czasach, przecież weszli Niemcy, i rozstrzelania i obozy, wszystko. Wiem, że ja się gdzieś skryłem. I za kilka dni, słyszę straszny krzyk mojej mamy. U nas na Kresach, w każdym domu jednorodzinnym, w kuchni były drzwiczki do piwnicy. Tam się wchodziło po schodach do tej piwnicy. I ja się zerwałem z łóżka, wbiegam i patrzę a na dnie tej piwnicy leży zakrwawiona moja mama. A oni z rewolwerami w ręku. Co potem było, mam przerwę w pamięci. W jaki sposób ja uciekłem z domu, kiedy jeszcze inni żołnierze tam przyszli… I moją mamę zawieźli ranną do takiego maleńkiego szpitala. Wtedy to było osobne miasteczko, nazywało się Starosielce, a dziś to dzielnica

Białegostoku. Minęło równo, równiutko 20 lat – 1961 rok, lipiec, a moją mamę zamordowali w lipcu, i ja byłem po prymicjach. Prymicje, to pierwsza msza św. po święceniach kapłańskich. To było w tych Starosielcach. I wracam na drugi dzień z kościoła, i zastępuje mi drogę znajoma od dzieciństwa i wczesnej młodości, pani – nazywała się Rybnik. I do mnie mówi tak: - Musisz mi przysiąc na krzyż – podała mi krzyżyk – że dopóki ja żyję, tego nie zdradzisz. Ona znała mnie od kołyski, mówiła mi po imieniu. I ja jej dałem słowo honoru. I ona mówi tak: - W tym szpitaliku ja pracowałam jako pielęgniarka. I widziałam na własne oczy, jak lekarz rosyjski dobił Twoją matkę zastrzykiem. (07:01 minuta filmu) I ja tę tajemnicę zachowałem do 1990 roku. Potem powiedziałem mojemu rodzeństwu i znajomym. Kilka dni po pogrzebie mojej mamy, wkroczyli Niemcy. Ale ja znalazłem się już w innym domu, tacy bardzo dalecy krewni mnie zabrali. I każdego wieczoru, moja opiekunka, którą nazywałem – ponieważ mieli to samo nazwisko, ale to prawie żadna rodzina, Janina Pańkowska. Przypominała mi, że jak wkroczą w nocy, to o niczym nie pamiętaj, tylko kurczowo trzymaj w ręku tę paczkę, która stoi przy Twoim łóżeczku. Potem co się okazało? Że tam były suchary chleba i jakaś odzież. Bo dookoła wszystkich Sowieci wywozili na Sybir. W kuchni moich opiekunów, na czołowym miejscu stał worek suszonego chleba . I mówili dorośli – Niczego nie zabierajcie, bo będzie 5 minut na wyjście, tylko ten worek. Mój pociąg na Sybir nie odjechał, bo wkroczyli Niemcy. No i zaczęła się inna tragedia. Potworne prześladowania, aresztowania. I w kilka miesięcy potem, jakieś 500 m od tego nowego zamieszkania, Niemcy pobudowali baraki i założyli obóz dla Polaków. Tam były straszne warunki, potworne. Tam ludzie umierali z głodu. I ja tam chodziłem prawie codziennie. A był tam też, aresztowany mój najstarszy brat, Mieczysław. On już nie żyje dawno. I mały chłopiec, który widział tyle krwi, tyle wszystkiego, to się nie bał podejść pod te druty kolczaste w trzech rzędach i pod prądem. To co miałem do przerzucania, to przerzucałem. A nie tylko jedzenie. (09:15 minuta filmu) Bo w międzyczasie, nauczycielka - potem była moją kierowniczką Szkoły Powszechnej, wtedy się mówiło, z innymi koleżankami, ja zostałem w Szarych Szeregach. (sic) Była przysięga itd. I moim obowiązkiem było codziennie tam w miarę możliwości chodzić. Ale ci więźniowie pracowali w terenie. Nieraz 5, 10 kilometrów, czy deszcz, czy śnieg, oni szli. Była zima, `43 rok, pamiętam. 3 dzień Bożego Narodzenia, idę pod te druty, i ktoś do mnie mówi, że oni są 6 czy ileś kilometrów w terenie. Oni kopali rowy, w tej zamarzniętej ziemi, a tam przecież było – 40 st. Odszukałem ich, co miałem do powiedzenia, powiedziałem, co miałem do dania, dałem. Ale, po paru miesiącach, to już był 1944 rok, Sowieci bombardują moje miasto. Dwa razy na dobę. Były syreny wtedy. Jedna o 6 po południu, a druga o 4 rano. I co się dzieje? Tysiące ludzi, od godz. drugiej, trzeciej po południu, wychodzili do pobliskich lasów. Bo nie wiadomo, co będzie po dwóch bombardowaniach. Jak mi mówili znajomi, jak już trochę podrosłem, że w międzyczasie, całe ulice były bombardowane, albo całe domy. I dopiero ci ludzie wracali po godzinie szóstej, siódmej rano. Bo o 4.00 był nalot. (11:05 minuta filmu)

Poza tym – co do dzisiaj mnie przeraża, po drugiej stronie domu, gdzie mieszkałem, jakieś 550-600 metrów, były tory kolejowe prowadzące z Białegostoku do Warszawy. I codziennie, przez wiele miesięcy, wagony towarowe wywoziły żydów z getta. Bo według mojej wiedzy, po Warszawie i Łodzi, największe getto było w Białymstoku. Bo przed wojną w Białymstoku zameldowanych było 120 000 mieszkańców, z czego 80 000 żydów właśnie. [mówi z naciskiem] I ci żydzi wyskakiwali z jadących niezbyt szybko wagonów, a na górze stali Niemcy i ich zabijali. A jak ktoś przeżył, to zaraz szło gestapo i dobijało. To widziałem na co dzień, potworne trupy… Do dzisiaj pamiętam widok – młody mężczyzna, ma wnętrzności żołądka, [przykłada dłonie do jamy brzusznej] trzyma zakrwawione dziecko. I wchodzi na podwórko gdzie ja mieszkałem. Gdyby nie ta lejąca się krew, a ja z daleka [wznosi oczy w dal] widziałem - idzie gestapo. I czym się skończyło? Gestapowiec dobił go. Ale chciałbym koniecznie w tym momencie, szczególnie z uwagi na młodych ludzi – Czy wszyscy byli draniami? Nie. Do mnie gestapowiec strzelał z odległości może 30 metrów, bo coś mu się nie podobało, co ja powiedziałem. Dlaczego ja uciekłem? Dlaczego on mnie nie dobił? Nie wiem. Ale kilka dni potem – wydarzenie. Nie do uwierzenia, gdybym nie był świadkiem. Wówczas hodowało się wszystko co tylko było możliwe, i moi opiekunowie hodowali kury, a po drugiej stronie były olbrzymie warsztaty stolarskie, tartaki, na przestrzeni około kilometra. I już w międzyczasie w `44 roku, na początku lipca, Niemcy wszystko wywozili, nie tylko swoje, ale brali od ludzi co tylko było możliwe. I przyszli do mojego opiekuna i chcieli koniecznie zabrać te kury. A mój opiekun dobrze mówił po niemiecku. Niemiec stał z rewolwerem, więc ja przestraszony wyszedłem na ulicę, a sąsiedzi byli daleko, patrzę a idzie gestapo. Ja wtedy dobrze rozumiałem po niemiecku. A na Kresach blisko były Prusy, więc myśmy dobrze znali niemiecki. Dzisiaj już nie mówię po niemiecku. I gestapowiec mnie pyta – Co to za krzyk? I ja mu odpowiedziałem jak umiałem, on to zrozumiał, że jego kolega, chce zabić mojego opiekuna. On wszedł na podwórko, wyjął rewolwer, i powiedział do tego Niemca – Chcesz strzelać, bić się, to idź na front. I obronił mojego opiekuna. Tam też byli czasami ludzie. (14:39 minuta filmu) Po wkroczeniu Sowietów, w 1944 roku, w lipcu - tam gdzie mieszkałem był duży dom i olbrzymi ogród – i tam usadowiło się całe dowództwo sowieckie. Do października, dopóki się nie skończyło powstanie warszawskie. Było strasznie dużo żołnierzy, mieli niesamowitą ilość broni. Pociski armatnie, nawet mieli dwa samoloty, płato…[kręci głową] jak to się mówi…?

PB: Dwupłatowce.

LP: Dwupłatowce. Oni czekali, aż się skończy powstanie. Dopiero na początku, albo w połowie października odjechali. Było strasznie ciężko, oni co mogli – kradli. A byli bardzo głodni. Ci żołnierze, niektórzy mieli po 15-16 lat.. Nawet było kilku żołnierzy z baletu leningradzkiego. Mówili nam o tym, że zabrali ich do wojska. Nieraz wieczorami, jak był spokój, nie było bombardowania, strzelaniny, to oni nawet tańczyli, pamiętam jak dzisiaj, na

podwórku. Mieli niesamowicie dużo koni. Te konie zdychały. Albo z głodu, albo były ranne. Więc oni tę koninę gotowali w tych kuchniach wojskowych. Smród nie do zniesienia. Ale po dwóch, albo trzech tygodniach, otrzymali pomoc UNRRA. Państwo wiedzą co znaczy UNRRA?

PB: Pomoc amerykańska. (UNRRA- Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy)

LP: I oni dostali bardzo dużo w takich paczkach, tam był smalec, trochę mięsa.. I moja opiekunka mówi do tego dowódcy, po rosyjsku – Ja chcę waszego dobra. Proszę zamknąć te wszystkie puszki i przez 2-3 dni dawać żołnierzom najwyżej po łyżce. Bo jeżeli oni zjedzą od razu pół puszki, za dwa dni nie będą żyć. On na te słowa, wyjął rewolwer i chciał zastrzelić moją opiekunkę. Ale po kilku dniach, ze łzami w oczach dziękował. Ci chłopcy strasznie się rozchorowali. Nie wiem czy w tym miejscu mogę powiedzieć co było, ale oni nie musieli wkładać spodni przez 2 tygodnie. Część z nich zmarła. **(17:35 minuta filmu)** To był `44 rok. Już na początku października, nauczyciele zorganizowali zajęcia szkolne, ale nie w szkołach. Bo w szkołach były szpitale. Pełno było żołnierzy rosyjskich rannych. Po domach żeśmy się uczyli. Pamiętam jak dzisiaj, mimo że to minęło tyle lat, 1 listopada `44 rok. Niedaleko Białegostoku, Niemcy zamordowali ponad 400 nauczycieli. Którzy uczyli potajemnie. I ta nasza kierowniczka, dziś się mówi dyrektorka, całą szkołę zaprowadziła na te groby. A w jednym z nich leżał jej mąż. Ale tam już nie było kości, bo przez jakieś 3 tygodnie w lipcu, Niemcy palili te trupy. To było nie do zniesienia. Przez 2 albo 3 tygodnie, myśmy słońca nie widzieli. Tylko potworny smród, bo oni chcieli zlikwidować ślady. I mimo że byłem wtedy małym chłopcem, ale dużo przeżyłem, ja patrzyłem jak ona przemawiała nad tymi grobami, nad tymi prochami. Ale chyba za dwa lata ją wyrzucili ze szkoły, bo ona już nie mogła tam uczyć. Przyszedł ktoś inny. **(19:07** minuta filmu **)**Jeśli chodzi o moją osobę – koledzy, koleżanki, mający rodziców, dom, babcię dziadka – a ja nikogo nie miałem. Ani babci, ani dziadka, ani ciotki, nikogo. Dostawali pomoc unrowską - ale nie ja.

PB: Jeśli można wejść w słowo, a co z rodzeństwem księdza działo się w tym czasie?

LP: Ja na sto procent nie mogę powiedzieć, bo myśmy się nigdy w piątkę nie spotkali. Myśmy się rozlecieli po świecie. Wiem, że moja bliźniaczka, z którą nie miałem bardzo długo kontaktu, była w jakimś sierocińcu jednym, drugim, potem – za jakiś czas, znalazła się chyba w Danii, albo w Szwecji. Potem wróciła do Polski, była w jakimś sierocińcu. Nie umiem powiedzieć, co się działo z moimi braćmi. Jeden – to już mówiłem, on został w domu i był aresztowany potem. Co było z młodszym bratem? Ja nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Moja druga siostra – też przez wiele lat nie wiedziałem gdzie ona jest. Ona niedawno zmarła. To mnie bardzo boli, że myśmy się w piątkę nigdy nie spotkali. Ja

najwyżej spotkałem swoją bliźniaczkę, tę starszą siostrę, no i potem – już jak byłem dorosły , spotykałem swoich braci.

PB: A jakie były dalsze losy księdza?

LP: W `48 roku, większość dzieci chorowała na gruźlicę. I ja też ciężko zachorowałem na gruźlicę. Bo niedożywienie, codziennie przeziębione nogi, przemoczone, butów nie było. I lekarze zaryzykowali, że mnie też zawiozą do sanatorium. Oni ryzykowali i wiedzieli, że ryzykują. Oni mieli dobrą wiedzę, co nade mną wisi. I proszę sobie wyobrazić, jest popołudnie, gdzieś 16.00, idę na dworzec, w pociągu są moje koleżanki i koledzy, pociąg ma odjeżdżać, i wchodzi na peron pani z kuratorium nauczycielskiego, bo już wtedy takie istniało, i powiedziała, że – Nie, ty nie pojedziesz. Po prostu mnie wyrzucili. (21:37 minuta filmu) W szkole średniej, też ryzykowali nauczyciele, żeby mnie pomóc, bo nie było łatwo. Skończyłem tę szkołę w 1953 roku, niestety nie byłem na uroczystym zakończeniu, bo byłem w szpitalu wtedy, i kiedy wyszedłem ze szpitala, wiedziałem, że muszę zarobić na studia. Bo nikt mi nie pomoże. Przez rok czasu pracowałem. Skończyłem chemię, więc pracowałem w laboratorium w bardzo wielkich zakładach mięsnych. To było osobne pomieszczenie i tam przeprowadzałem różne badania.

PB: Gdzie były te zakłady?

LP: W Białymstoku. Ja byłem tam albo 3 albo 4 miesiące, ale to co ja widziałem na co dzień...[przyjmuje wyraz twarzy wypełniony rozpaczą] A przede wszystkim, moja poprzedniczka, umiała sobie zrobić interes. Bo tam, w tym laboratorium, trzeba było mieć bardzo dużo rektyfikatu etylowego. Czyli alkoholu. I ona co 3 miesiące zwracała się do naczelnika o nową dostawę. Ja byłem ponad 4 miesiące i nie zużyłem nawet 1/3. I naczelnik to zauważył, a ja poszedłem i mówię – Panie naczelniku, wie pan co, ale ja.. [kręci przecząco głową] ja kończę, bo ci ludzie przychodzili codziennie pod moje drzwi, a ja miałem wtedy zamknięte drzwi. Ja mówię – Ja tutaj nie wytrzymam. I zwolniłem się, choć naczelnik bardzo mnie prosił: - Wreszcie coś się uleczyło tutaj, młody człowieku. (23:30 minuta filmu) I tak się złożyło, że mój dyrektor szkoły, którą skończyłem – tam było bardzo dużo laboratoriów, potrzebował kogoś w rodzaju asystenta. I oni mnie zatrudnili. I już tam do końca roku pracowałem. Składałem pieniądze na książeczkę, żeby potem mieć na studia jakieś maleńkie pieniądze. I we wrześniu `54 roku, zdecydowałem, że pójdę do seminarium wileńskiego w Białymstoku. Wszyscy mi odradzali. Ale ja poszedłem. Byłem tam dwa lata, i na własną prośbę przeniosłem się do Wielkopolski. A przy okazji, moim profesorem był m.in. Wielki Spowiednik św. siostry Faustyny błogosławiony Michał Sopoćko. Był moim profesorem i czego on nauczył w ramach języka rosyjskiego – katechizmu w języku rosyjskim. I on nam młodym ludziom mówił codziennie – Wy musicie ten katechizm dobrze znać, bo wy jeszcze będziecie pracować na terenie Związku Radzieckiego. My między sobą mówiliśmy – On jest święty, widzimy jak się na co dzień zachowuje ale tu coś chyba bredzi.

Nie bredził. Bo moi koledzy, którzy zostali tam [wykonuje ruch głowy za siebie] w Białymstoku, jeszcze kilku, albo kilkunastu pracowało na terenie...[zawiesza głos]

PB: [kończy zdanie] na terenie Związku. Jeżeli wolno wejść w słowo – to jest ważna decyzja, która właściwie zdecydowała o całym życiu księdza. Dlaczego ksiądz poszedł do Seminarium? Czy to pod wpływem tych ciężkich przeżyć rodzinnych, czy co innego decydowało? (25:19 minuta filmu)

LP: Ja mam wrażenie, że mimo iż ja nie miałem żadnej prawie opieki, bo tam gdzie byłem to lepiej byłoby być w domu dziecka, ale ja się bardzo często i bardzo gorąco modliłem. Żeby przeżyć noc, żeby mnie nikt nie budził w nocy, żebym nie musiał uciekać przez okno.. I zamieszkałem po maturze u mego profesora, wychowawcy z klasy maturalnej. To było takie małżeństwo bezdzietne, oni mnie znali jeszcze wcześniej. I jak powiedziałem, że szukam jakiegoś pokoju, bo ja tam dalej nie wytrzymam ani chwili. A oni powiedzieli, że od dawna chcieli mieć coś w rodzaju syna, i oni popełnili straszny błąd. Bo zapomnieli o tym, że ja miałem już maturę, że nie pamiętam słowa tata, bo miałem dwa lata. I oni chcieli mnie usynowić. Ja powiedziałem – Proszę państwa, jesteście wspaniałymi profesorami, do was lgnie młodzież po wielu latach po maturze, ale [kręci przecząco głową] ja nie jestem w stanie. Ja mogę nazywać ciocią, wujkiem, ale nigdy mama, czy tata. I jak już poszedłem do Seminarium, to już prawie nie bywałem. Oni się potem na mnie pogniewali, ale niepotrzebnie. (27:00)

Byłem na drugim roku Seminarium Wileńskiego w Białymstoku, kiedy przyjechał z diecezji poznańskiej, z parafii w miejscowości Domachowo koło, który potem, w `58 roku był głównym pasterzem akademickim, nie tylko Poznania, ale Polski. Nazywał się Kazimierz Żarnowiecki. Ja wtedy się bardzo interesowałem św. Franciszkiem. I do niego poszedłem na rozmowę, a wszyscy [pokazuje kciukiem za siebie] koledzy, całe seminarium już w kolejce czekało na rozmowę, bo to był inny zupełnie człowiek, [mówi z emfazą] jeśli chodzi o kazania dla kleryków. To był człowiek, który nie bał się wszystkiego nazywać po imieniu. Bo starzy profesorowie, no..! Dawniej takich rzeczy nie mówiono wprost. I ja do niego poszedłem na rozmowę o św. Franciszku, a on mówi, że on ma kilkadziesiąt książek o św. Franciszku, i on mi przyśle, ale nie do seminarium, tylko do moich rodziców. On miał tytuł doktora, i ja mówię – To proszę księże doktorze adres na cmentarz. [milczy chwilę] I on mówi: - Koniec rozmowy, zapraszam cię na wakacje do mnie. I w ten sposób znalazłem się w Wielkopolsce, w miejscowości Domachowo. Jechałem do Domachowa, przez Częstochowę, Kalwarię Zebrzydowską, Zakopane, Kraków, do Gostynia. [uśmiecha się] Bo dobry, życzliwy ksiądz, który mnie pomagał przetrwać, urządził mnie taką wycieczkę. I po długich, długich rozmowach z tym księdzem Kazimierzem Żarnowieckim, on do mnie mówi tak: - Nie masz domu, nie masz nikogo, tułasz się po różnych plebaniach.. Tutaj [pokazuje kciukiem za siebie] za miedzą, jest taka Święta Góra. Ja ci radzę pomyśleć. Tam nie ma żadnych ślubów jak zakonnicy. Tak jak każdy ksiądz katolicki – posłuszeństwo,

celibat itd. I mówi: - Ty nie nadajesz się na zakonnika, bo jesteś za rogaty. [uśmiecha się] Nie wytrzymasz tych wszystkich ślubów dodatkowych. **(29:27)**

I tak się znalazłem na Świętej Górze, u księży filipinów. Po święceniach w 1961 roku, tam pracowałem przez 13 lat, a potem przeniosłem się do Poznania. I ja cały czas byłem jako misjonarz. Przez 40 lat.

PB: A jak ksiądz zetknął się ze środowiskami i z tematyką katyńską.

LP: Proszę pana, ponieważ ja wiedziałem doskonale, bo dawniej w domach otwarcie mówiono, ja bardzo dużo słyszałem o Syberii, o tragediach, o męczeństwie. I już w 43-44 roku, szeptano.. Katyń. Skąd oni wiedzieli, tego nie wiem. I kiedy byłem już w Poznaniu,c zacząłem uczestniczyć w różnych nabożeństwach i uroczystościach. I poznałem taką panią magister Polongowską, [fonet30:28] jej ojciec zginął w Charkowie. A ja bardzo często zastępowałem kapelana w szpitalu na Szkolnej. Już tego szpitala nie ma. I ona tam była w tym szpitalu. I tak – jedna, trzecia, piąta rozmowa i ona do mnie mówi: Szukamy kapelana dla Rodziny Katyńskiej. Czy ja bym się zgodził? Ja mówię: - Ale to jest wielka odpowiedzialność. Ja jeszcze za mało wiem o Katyniu. Nie ma książek. Ale powoli, powoli, powoli, zgłosili się do biskupa, bo kapelan musi mieć delegację z Kurii. Oni się zgodzili i zacząłem chodzić na te zebrania. A najbardziej mnie pomogło, jak zacząłem jeździć na te groby katyńskie. Byłem dwa razy w Katyniu, byłem dwa razy w Charkowie i byłem raz w Miednoje. (31:28 minuta filmu)

PB: Wrażenie z pierwszego wyjazdu. Gdzie to było?

LP: Do Katynia.

PB: W którym roku?

LP: 1995. Czerwiec. Jesteśmy w pociągu, i zaledwie przekroczył granicę Polską – jak szakale, jak hieny, na wagony, pod wagony, wszystko przemieszano do góry nogami.

PB: Ale kto? Białorusini? Rosjanie?

LP: Białorusini. I Rosjanie, bo przecież to była jedność. Pozamykane okna, nie wolno było rozmawiać, nie można było otworzyć okna nawet na korytarzu. Nawet pozamykali toalety. Trzymali nas chyba jakieś 10 godzin. Ponieważ ja nigdy nie miałem dobrego zdrowia, prawie że mdlałem i otworzyłem okno na korytarzu. A na dole żołnierze [gest trzymania karabinu] trzymali automaty. I gdyby mnie ktoś nie odepchnął, to by strzelił. I kiedy zajechaliśmy do Smoleńska, na siłę nas pchano do takich – nazwijmy – autokarów, w nich szosę było widać przez podłogę. I ten wstrząsający widok, te 16 km do lasku katyńskiego, co 50 m stał żołnierz z automatem, okna wszystkie pozasłaniane, żadnej osoby na ulicy nie ma. I kiedy znalazłem się już w tym lasku katyńskim, wtedy to zupełnie inaczej wyglądało niż teraz, i poproszono nas – było tam kilku kapelanów z całej Polski, żebyśmy stanęli na

takim podwyższeniu, [podnosi dłoń do wysokości głowy] na takich wałach, i oni ogłoszą, że będzie możliwa spowiedź święta. A wtedy przecież ludzie byli z różnych części świata. A między drzewami to więcej było tych żołnierzy rosyjskich, niż tych drzew. I po nabożeństwie, po mszy świętej, mieliśmy zwiedzać przez 5 godzin Smoleńsk. Przyszło rozporządzenie z Moskwy [mówi z uśmiechem] – natychmiast trzeba wyjeżdżać. (33:59 minuta filmu)

Co tam zapamiętałem? Tam poświęcono sztandar katyński, ten który mamy w Poznaniu, to jedyny sztandar Rodzin Katyńskich, który został poświęcony w lesie w Katyniu. Poświęcił ten sztandar śp. ks. prałat Peszkowski. Potem były inne wyjazdy do Charkowa. Czy mogę opowiedzieć o Charkowie?

PB: Bardzo proszę. I miał ksiądz o koszarach w Charkowie opowiedzieć, ale to pewnie inna historia?

LP: To to samo.

PB: To prosimy.

LP: [pochyla głowę, zastanawia się] Luka myślowa.. Jestem na dworcu, tam już są tory kolejowe szerokie... [sięga po notatki, przegląda je] No wyleciała mi teraz nazwa tej miejscowości, tam już są tory kolejowe szerokie.

PB: A to jest graniczna miejscowość?

LP: Pod Charkowem. Może sobie przypomnę..

PB: To może opisowo – w miejscowości, w której…

LP: Chodzę po peronie, zjeżdżają się ludzie z obu Ameryk, z Australii, z Nowej Zelandii, z Afryki, i chodzę po tym peronie i podchodzi do mnie, będący w randze pułkownika żołnierz i pyta się mnie kogo ja żegnam. Ja mówię – Ja nikogo nie zegnam, tylko jadę z nimi. - No ale wg mojej wiedzy, wszyscy kapelani z całej Polski lecą jutro samolotem z Warszawy. Ja mówię: - Niech oni lecą, ale ja będę tutaj. Bo ja wiem, że jestem tu potrzebny. Jakim jestem, ale jestem księdzem katolickim. I proszę sobie wyobrazić, mówi: - Proszę na mnie zaczekać tak 10-15 min. Proszę nie odchodzić. (36:49minuta filmu) Wraca z olbrzymim papierowym arkuszem [pokazuje dłońmi wielkość ok metra] i bardzo wielkimi literami napisane - „Kaplica". W każdym wagonie było dwóch żołnierzy polskich i dwóch ukraińskich. Na zbiórce żołnierzy polskich on wydał rozkaz – Proszę przebiec wszystkie 40 wagonów, wszystkie przedziały i zakomunikować, że w tym wagonie, w tym przedziale jest kapelan Rodzin Katyńskich. Jechaliśmy prawie 48 godzin. A ja jeżeli spałem 2-3 godziny, to chyba wystarczy. Ludzie z Afryki, którzy nie widzieli księdza 50 lat, korzystali z tego. A ja też ogłosiłem, że jestem przygotowany, do odprawienia mszy św. i do komunii św. I proszę sobie wyobrazić, drugi dzień nad ranem, gdzieś godzina 3.00-4.00, do każdego przedziału

wchodzi żołnierz polski i mówi jedno zdanie: - Proszę o nic nie pytać, tylko – na dworcu głównym w Charkowie, pociąg nie będzie jechał, tylko będzie się toczył. Wszyscy przeżyliśmy wojnę i wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. I kiedy żeśmy dojechali do głównego dworca, ten pociąg toczył się, tak że nawet ludzie, którzy mieli kule ze sobą, mogli zejść. (38:28 minuta filmu) I szybko nas przeprowadzono na siłę, [wykonuje gest rękoma, jakby coś przepychał] bo się dowiedzieliśmy, że mieli nas jakieś 10-12 km zawieźć za Charków. Żebymy nie zdążyli na to nabożeństwo do grobów katyńskich. W [niezrozumiałe38:48] – taka miejscowość. I kiedy żeśmy przeszli przez hol… na placu kilka tysięcy ludzi stoi... [mówi bardzo wolno dla podkreślenia wagi słów] To Polacy, z Ukrainy… Zjechali się, bo wiedzieli, że będzie pociąg z Polski, na groby charkowskie przyjedzie. Ale było pełno żołnierzy ukraińskich i wojska, i nie pozwolono im do nas podejść. A z nami jechała orkiestra wojskowa. I ten pułkownik zrobił zbiórkę orkiestry i mówi: - Daję rozkaz, proszę to i to grać. Podskoczyli żołnierze ukraińscy, nawet z pistoletami, do naszego pułkownika – Nielzja! On dał rozkaz – Proszę grać. I kiedy zagrali Pieśń Legionów, [wzrusza się] te kilka tysięcy Polaków po bokach.. Tam nie był płacz, tam był szloch, krzyk.. Oni usłyszeli po `50, `60, `70-ciu latach melodię wojskową. I wtedy dosłownie na siłę nas spakowano do autokarów. Mieliśmy po nabożeństwie zwiedzić Charków, też 5 godzin, ale przyszedł rozkaz, że mamy wracać do Polski. [uśmiecha się] (40:14 minutafilmu)

PB: A proszę mi powiedzieć, jak ksiądz zetknął się i działał w sprawie poznańskiego pomnika Ofiar Katynia i Sybiru? Jak to było?

LP: Ja trafiłem na taki czas w `56 roku, przebywając w Domachowie. Ksiądz Żarnowiecki miał rodzoną siostrę, mieszkała niedaleko szpitala Raszei na Mickiewicza. I ja tam się znalazłem. Dowiedziałem się wtedy, że są rozruchy. I widziałem te trupy i tych zakrwawionych. I ja tam poszedłem.

PB: N Jeżyce, tak? Dokąd?

LP: Na ulicę Kochanowskiego, do UB. Zdążyłem już tam być zresztą wcześniej, byłem wtedy na jakiś czas zatrzymany.

PB: Za co?

LP: Byłem w sutannie.

PB: To wystarczyło?

LP: Naturalnie. No i po jakimś czasie spotkałem tych ludzi, jeden już dziś w stopniu pułkownika. Taki Włodzimierz Marciniak. Jego stryj – Florian Marciniak, przyczynił się do powstania Szarych Szeregów w czasie okupacji. I ja się w to wkręciłem. I do dzisiaj jestem w tej Organizacji, też jako kapelan. Też mam dekret kurialny i z nimi współpracuję. (42:05 minuta filmu) On ma stopień pułkownika, a ja niestety dorobiłem się tylko stopnia majora.

[mówi z uśmiechem] I tak z nimi pracuję, chociaż nie jest łatwo. Pierwsze początki, 25 lat temu, to były bardzo trudne sprawy. [mowa o organizacji kombatantów Czerwca 1956 Włodzimierza Marciniaka – red.] Tam byli ludzie różni. Tak samo w Rodzinie Katyńskiej. Różne przeszłości. Bo przecież do Rodziny Katyńskiej należą powracający Sybiracy. Z różnymi poplątaniami życiowymi. Ja nawet miałem takie wydarzenia 20-30 lat temu, że przychodziłem na zebrania i zaczynałem je modlitwą. Nie wszyscy się na to godzili… [kręci głową] Ale powoli, powoli, powoli...[uśmiecha się] A mam wrażenie, że najbardziej wszyscy zrozumieli, jak potrzebny jest kapelan, to był cmentarz Miednoje. Tam zamordowano 6200 policjantów. Za to co teraz powiem, jeszcze mógłbym być aresztowany, jeśli znaleźli by się jacyś źli ludzie. Wracamy z cmentarza w Miednoje, tam była pewna pani, ale nazwiska nie powiem, bo się boję, która miała ta zamordowanego ojca. Rzucała się na te groby, że ona stąd nie odjedzie, bo tu jest jej ojciec. Ale potem się okazało, że ta pani nadawała. [odchyla się w krześle i uśmiecha] I jesteśmy na granicy polsko – białoruskiej, 2 września 2000 rok. Potworny upał, nie wolno wyjść na peron, nie wolno okna otworzyć, nie wolno korzystać z ubikacji. Ludzie mdleli. 10 godzin nas trzymano i już było bardzo ciemno, ja przechodziłem z wagonu do wagonu, ale w środku, nie wychodziłem na peron. I jestem w powrotnej drodze od tej pani, bo tam były jakieś sprawy urzędowe, wydawało mi się, że to jest uczciwa osoba. W tak zwanym wagonie restauracyjnym [odchyla się w krześle] – Pusty, nikogo nie ma? Ale ja nie wiedziałem, że tam dwóch panów jest. Wyskoczyli jak spod ziemi. Dryblasy po 2 metry. Chwycili mnie pod ręce i wyciągnęli mnie z pociągu. Wloką mnie do budynku dworcowego. [przekrzywia głowę] Hmm, to już koniec. Ja nie jestem wysoki, ale uczułem, że mnie tak mocno nie ściskają, że jestem trochę luźny. I do dziś nie umiem sobie odpowiedzieć, skąd ja miałem siły, że wyrwałem się i łokciami uderzyłem pod pachy. To jest straszny ból. Proszę kiedyś spróbować, jaki to jest ból… I oni padli. Padli z bólu. No, to było jakieś 20 lat temu, więc mogłem jeszcze trochę podbiec, dziś bym nawet 100 metrów nie podbiegł. [uśmiecha się] (45:44 minuta filmu) I ja zacząłem biec, i podobno strasznie krzyczałem – Ratunku! I mimo że zakazane było otwierać drzwi, okna, usłyszano w jednym wagonie, otworzyli na siłę drzwi do wagonu i chwycili mnie w biegu. Ale kiedy oni mnie mocno trzymali, to już ci panowie dobiegali. To że żyję, to nie wiem dlaczego. I to poszło prawdopodobnie po Rodzinie Katyńskiej, że ten niski ksiądz Lucjan, chyba jest nam bardzo potrzebny.

PB: A jak to było z tym pomnikiem w Poznaniu, bo długi czas były zastrzeżenia do jego lokalizacji, prawda?

LP: Za to też mogę być aresztowany jeszcze.

PB: Jeszcze? Myśli ksiądz, że po takim czasie? To jednak jest trochę inny kraj w tej chwili.

LP: [zamyka oczy i przyjmuje poważną minę] *Nihil est respondendum*. Czyli – nic nie mam w tej chwili do powiedzenia. Przez wiele lat, Rada Miejska była w 90% z SLD, i mimo że

się staraliśmy, zawsze Rada Miejska odrzucała nasze prośby. To mnie zdenerwowało i którejś niedzieli – bo ja mieszkam na Świerczewie, [wskazuje palcem za siebie] tam przy Kołłątaja jest kościół. Mówiłem kazania od rana i mówiłem taki passus o pomniku katyńskim, że nie możemy się doprosić, że tyle czasu minęło, że 95 i 96 rok i Rada Miejska nie pozwala. I tego dnia, na pierwszej mszy świętej był człowiek, który raz na 10 lat chodził do kościoła, a tego dnia był właśnie w kościele. (47:46 minuta filmu) I on się rozdzwonił po wszystkich radnych, to tego dnia potem naliczono, że było 35 radnych. Po jednej mszy świętej wszedł pan radny, zrobił mi awanturę nie z tej ziemi w zakrystii. Że zobaczy ksiądz, ksiądz będzie beczał. I jeszcze kratki księdza czekają. A ja mówię: - Panie radny, ja jeszcze w tej chwili mam 45 min do następnego kazania, czy możemy porozmawiać? Po 20 minutach on już mnie przeprosił. Była narada na Radzie Miejskiej, co zrobić z tym kapelanem katyńskim? Nie wiem co oni wymyślili, na razie nie aresztowano mnie. 2 tygodnie później jest Rada Miejska i nas zaproszono. Tam jest takie boczne wejście i można się przysłuchiwać tym Radom. Było nas może jakieś 30 osób. Ja specjalnie przyjechałem w sutannie, i mam taką specjalną stułę katyńską. Matka Boża katyńska i orzeł. Zawsze występuje na nabożeństwach. I czytają program: 41 punkt będzie Pomnik Katyński. I ten pan radny, który mnie przeprosił, mówi: - W sprawie formalnej. Proszę zobaczyć, tutaj większość tych pań i panów mają po 80 lat. To oni mają tutaj stać, czy siedzieć do 3-4 rano? Ja zgłaszam poprawkę, że to będzie 1 punkt. I na 51 radnych, ZA było 47 osób. No i były obrady. (49:48minuta filmu) Długo żeśmy chodzili od drzwi do drzwi, było kilka dni przed Bożym Narodzeniem, i ja zadzwoniłem do pana prezydenta.

PB: Którego?

LP: Wojciecha [Szczęsnego] Kaczmarka. Znałem go bliżej z różnych uroczystości. I mówię:- Panie prezydencie, ja życzę panu zdrowia. Ale jeszcze życzę panu, odrobiny sumienia Polaka. On tylko mnie powiedział:- Księże kapelanie, ksiądz ma bardzo mocne określenia. Ale nie pogniewał się. I jeszcze co zdecydowało – na jedne zebranie, wtedy zbieraliśmy się na Niezłomnych 1, teraz już nie można tam – przyprowadził na zebranie profesora pochodzenia węgierskiego, mieszkającego w Poznaniu. I on – dobrze mówiący po polsku – przekonywał nas. Dlaczego my się tak opieramy? Przecież dostaliśmy jedną zgodę za ścianą opery. Wszyscy milczą, a ja wstałem, i mówię: - Panie profesorze, jakim prawem, pan – obcokrajowiec, czy pan zapomniał 1956 rok, i to co się stało na Węgrzech? Ilu ludzi pana narodu zginęło? Tysiące. I pan chce nas pouczać? Czy panu nie wstyd? [uśmiecha się] I to były już takie argumenty, że potem już wreszcie się zgodzili. [uśmiecha się] **(51:32)**

PB: Podobno prezydent Frankiewicz bardzo pomógł.

LP: O! dobrze że pan pyta. To był niemal [niezrozumiałe51:41] 1000 procent Polak. 1000 procent Polak. Frankiewicz. On na głowie stawał, żeby nam pomóc. To że w tej chwili jest piękne ogrodzenie… Nie wiem czy panowie wiedzą, gdzie stoi pomnik katyński?

PB: Oczywiście.

LP: Między Zamkiem a Fredry. To ogrodzenie piękne, te porządki, to on zapoczątkował. On na wszystkie nabożeństwa katyńskie jakie były, zawsze przychodził. Na wszystkie opłatki zawsze przychodził.

PB: A jeżeli wolno tylko zapytać, bo ksiądz powiedział, że pół rady było z SLD, czy większość. No to tak do końca nie było, ale zdaje się, że główny powód oporu Rady, to było jednak to miejsce. Czyli dawny ogród Różany, argumentowano, że to jest fragment Zamku Cesarskiego, założenia etc, etc.

LP: Dobrze, że pan powiedział o tym. [uśmiecha się] Ja napisałem artykuł, bardzo długi: „Ważniejsze róże Bismarcka, niż katyński pomnik". I to wydrukowano w Głosie Wielkopolskim i jakiejś drugiej gazecie, chyba już jej nie ma, nie pamiętam nazwy. I ja mam wrażenie, że to też trochę pomogło. Ważniejsze róże zaborcy, kata, to był mocny artykuł. No i wreszcie jakoś się zgodzili. Bardzo, bardzo, nam pomógł Cegielski. No bo ta trzeba było dużo materiału. Mosiądz szczególnie. I oni nam pomogli. Dzięki pomocy Cegielskiego, ten pomnik stanął. (53:26 minuta filmu)

PB: Ja bym księdza na koniec poprosił o ocenę, jaka jest świadomość wśród Polaków tej zbrodni katyńskiej? To jest już rzecz tak powszechna, że wszyscy dzisiaj o niej wszystko wiemy, czy wręcz przeciwnie.

LP: Bardzo trudne pytanie.

PB: Czy w ogóle Polacy się tym interesują? Jak ksiądz to odbiera?

LP: Powiedział bym, że bardziej się interesuje część młodzieży polskiej. W telewizji, kiedy pokazywane są różne wydarzenia [uroczystości] wojskowe, widać wszędzie ludzi młodych. I to mnie cieszy. Jeśli chodzi o starszych – ci którzy byli bardzo „pomaczani" poprzednim systemem, to ich bolało… A dzisiaj? Różnie bywa. Mnie bardzo cieszy, że na tych uroczystościach katyńskich, gdzie msza św. odbywa się zazwyczaj u Dominikanów, nieraz bywa i 120 sztandarów i 180 sztandarów. To mnie bardzo cieszy. Bardzo się włączają harcerze. Tak że – jest nadzieja. [odchyla się w krześle i uśmiecha] Że jak my odejdziemy, będą następcy.

PB: Myślę, że to dobra puenta. Ale mieliśmy jeszcze zapytać księdza o ten order. [ma przypięty do sutanny] Co to za order i jaka okazja sprawiła, że ksiądz go otrzymał?

LP: To jest Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, za moje zasługi i kapelaństwa, i Szare Szeregi. A poza tym, ja jestem kombatantem. Wszystkie wiadomości jakie są na mój temat, to w Ministerstwie Kombatantów. Kiedy ja jeździłem do Warszawy, a jeszcze mogłem chodzić lepiej niż teraz, to bardzo często byłem w Ministerstwie, i tam m.in. dobrze znana z telewizji postać pana Jacka Sasina, on był wtedy głównym prowadzącym, i wtedy

były u mnie te sprawy załatwiane. I to doszło do pana prezydenta Kaczyńskiego i on mnie to przyznał. A ponieważ ciągle wtedy byłem w szpitalu i nie mogłem odebrać, mimo listów i telefonów. A potem, po szpitalu – ponieważ mnie skrzywdził chirurg urolog, że jak wróciłem ze szpitala, to straciłem przytomność na 10 dni. Po odzyskaniu przytomności uczyłem się chodzić. Przez 2 miesiące uczyłem się chodzić. (56:39 minuta filmu) I jak już troszeczkę doszedłem do siebie, odebrałem telefon, bo już mogłem mówić, więc mówię, że to absolutnie niemożliwe, bym wsiadł do pociągu. I wtedy dowiedziałem się, że Pan Prezydent zdecydował, że przyśle swojego ministra. No i 2 tygodnie przed Smoleńskiem, przyjechał wtedy jako minister pana prezydenta, pan Andrzej Duda. Podziwiałem, że przyjechał specjalnie z Warszawy dla jakiegoś małego człowieczka. [uśmiecha się] Był niesamowicie sympatyczny.

PB: Służba.

LP: Służba [potakuje] ma pan… Ale ja nie wiem, czy on mógł powiedzieć prezydentowi, że to za daleko? Tego nie wiem.

PB: Bardzo dziękujemy i ja mam prośbę do księdza jeszcze, bo normalnie jest też tak, że ja muszę prosić księdza, o podpisanie zgody na wykorzystanie tego nagrania, taki papierek.

LP: Dobrze, dobrze.[filmowane są materiały należące do księdza, m.in. mała karteczka z napisem po rosyjsku – „Prostitie nas Poliaki” - Polacy wybaczcie nam. Kalinin, Miednoje, Ostaszków]

LP: Ostaszków to był obóz gdzie byli milicjanci, Kalinin - tak nazywał się za czasów Stalina, obecny Twer. Przed wojną też się tak nazywał. No i Miednoje. (59:08)

PB: I to była taka wywieszka, tak?

LP: Podczas mszy świętej na cmentarzu wpada ze sto osób, młodych ludzi, byli może 2 minuty. Przebiegli wszystkie możliwe siedzenia, gdzie byli ludzie, i to rozrzucali, potem uciekli. Oni biegli, żeby ich nikt nie zobaczył, nie sfotografował. Mogę zostawić na pamiątkę to ksero.

[w dalszym ciągu są dokumentowane zdjęcia należące do księdza Pańkowskiego]

K
o
n
i
e
c

m
a
t
e
r